



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubryniewicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Ktoby się jeszcze w Warszawie skarżył na brak rozrywek, ten byłby śledziennikiem pierwszego rzędu; pominawszy politykę obecnej doby, która w swoim rodzaju jest nader zajmującym widowiskiem w Europie, mamy tu na miejscu wszelakiego rodzaju przyjemności, począwszy od przechadzki *gratis* wśród wyelegantowanej w sedlonych przyrody, a skończywszy na wycieczkach do Marcellina i Sielanki, gdzie kurczęta, raki i szparagi czekają tylko skinienia miejskich Nababów, by za marną sztukę złota (można płacić i banknotami), uraczyć sobą wybrednych smakoszy warszawskich.

Komuś przyszła jeszcze genialna uwaga do głowy, że Warszawa nie ma dosyć zakładów publicznych, więc postanowił z kapitałem 300,000 rsr. założyć ogród, coś w rodzaju Hyde-Parku, czy Volksgartenu, w którymby można spacerować, słuchać koncertów, wdychiwać woń kwiatów, rozkoszować się kawą wiejską, zakrapiać chłodzącymi napojami etc. etc.

Prawdę powiedziawszy za 300,000 rsr. możnaby coś pożyteczniejszego zrobić dla Warszawy, która ma Łazienki, a w nich już i cukiernię od dawna pożądaną, i Ogród Saski, i zwierzyńiec, i ogród botaniczny, i mnóstwo ogródków z teatrykami letniami, i Dolinę Szwajcarską; w tej Dolinie, ulubionym niegdyś rondelku śmietanki warszawskiej, zaszły wprawdzie pewne zmiany, wycięto część drzew, zbudowano cyrk, wystawiono stajnie i baraki dla koni i linoskoków p. Salamońskiego, ale pozostawiono jeszcze dość miejsca dla melomanów obok hippomanów i kto nie ma ochoty podziwiać kobiety—zaby, kąpiącej

się z węzami, jaszczurkami i krokodylami w jednej wannie, lub zachwycać się zręcznością tresowanego wieprzka, ten może słuchać koncertu zaimprovizowanej orkiestry p. Noskowskiego, który *à tout prix* postanowił zostać polskim Bilesem i kto wie, czy mu się to nie uda przy energii i wytrwałości.

Przecież nie święci garnki lepią i nie sami Niemcy grywają na skrzypcach, basach, waltorniach i klarynetach; zresztą dzisiaj, dzięki ks. Bismarckowi, zaczynamy nawracać się do tego, co swojskie a odwracać od uprzywilejowanej dotąd obczyzny.

Niemiecka orkiestra pod dyrekcją p. Laubego, która mimo wszystko chciała zmierzyć granice polskiej gościnności i przyjechała w tym roku do Warszawy, chociaż dobrego przyjęcia i po parcia spodziewać się nie mogła, czeka tylko ekspiracyi kontraktu, aby pożegnać się z nami, zapewne nadługo. P. Noskowski zatem zostanie bez współzawodnictwa i jeżeli mu się teraz nie uda przekonać Warszawy, że może mieć swoją własną orkiestrę, to chyba nigdy tego nie dokaze.

Wolałbym, co prawda, aby pan dyrektor Towarzystwa Muzycznego, poważny kompozytor i uczony kontrapunkcista, nie dzielił się laurami z p. Sonnenfeldem, ale letnie miesiące spędzał w swojej willi nad morzem i w błogiem *dolce far-niente* zbierał siły do pracy w zimowym sezonie; skoro wszelako sama powaga jeść w lecie nie daje, a dochody dyrektorskie nie starczą jeszcze na zakupienie jakiego *Tusculum* choćby za rogatkami Warszawy, niechaj p. Noskowski dyryguje zdrową orkiestrą w Szwajcarskiej Dolinie i niechaj ją wykształci na pociechę naszych muzycznych uszu *con amore*.

Maluczko, a Melpomena pootwiera swoje letnie kapliczki po ogródkach warszawskich; nasze dwie stałe sceny już prawie przeniosły swoje lary i pe-

naty do obozów drewnianych w Ogrodzie Saskim i przy ulicy Królewskiej.

Pp. Texel, Puchniewski i p. Trapszo z trupą poznańską zaczną wkrótce konkurować ze sobą w Belle-Vue, Alhambrze i na Nowym Świecie; będziemy tedy opływali w komedyi, dramacie, operetkach i operze, jak komar w śmietanie.

O ile słyszę, cała processya debutantów i debutantek z podniesionemi błagalnie rękoma stoi u wrót teatralnych i prosi się choćby o jeden jedyny występik, dla spróbowania, dla skosztowania sceny i oklasków.

Cieszyłbym się kiedy indziej z takiego urodzaju na talenta, iż takiego zamiłowania do sztuki, ale w dzisiejszych warunkach naszych scen miałbym ochotę stanąć przed tą rzeszą aspirantów i powiedzieć im kazanie na temat znikomości sławy aktorskiej, zawodnej nadziei wygraczenia się na piedestał genialnych komików i tragiczków, i marnego losu, jaki ich czeka gdzieś w wędrownych truppach.

Nie wieleby to zapewne pomogło, bo kogo raz zaczęło „ciągnąć do teatru“, tego nie tak łatwo odciągnąć od progu Melpomeny; widziałem garbatych i ludzi z rozmaitemi defektami, którzy marzyli o laurach Talmy i Garricka, chociaż żadnych warunków na bohaterów scenicznych nie mieli.

Na wielkie, niepospolite talenta aktorskie jakoś czas przeszedł, nietylko u nas; średniej miary trzyma się wszystko, znakomitości schodzą z pola, użyteczność je zastępuje, a dzisiejsza sztuka i dzisiejsza publiczność poprzestają na tem.

Sprytna aktoreczka, zgrabny amancik mają więcej powodzenia, niż poważny tragic; prawda, że i tych tragiczków nie widzimy. Ze scen europejskich giną wielkie, pierwszorzędne gwiazdy; Rossi się zestarzał, Salvini i Ristori biorą stanowczo rozbrat ze sztuką; u nas Królikowski choruje ciężko; jeden Żółkowski trzyma zawsze

jeszcze berło komedii, ale wiecznych ludzi nie-ma na świecie.

Dzisiaj jest już mrok na horyzoncie sztuki dramatycznej; błyszczą tylko ogniki migotliwe, światelka sztucznie podsycane, rozdmuchiwane iskierki, ale co będzie, gdy ostatnie gwiazdy zgasną?...

Pozostaną wielkie... pretensje, z małemi środkami i małemi prawami do sławy i uznania, głośne reklamy i ciche intrygi; obawiam się, aby w końcu sztuka nie zidentyfikowała się zupełnie ze sztuką mięsa, a liście lauru nie były tylko bobkową przy niej przyprawą.

Znakomity humorysta lwowski, Jan Lam, rozpoczął kampanię przeciw teatrowi w swoich dowcipnych felietonach, nietyle przeciw instytucji, ile przeciw teatromanii, która w chobliwych objawach się przebija i więcej szkody, niż pożytku przynosi tam, gdzie obok sceny są jeszcze inne, ważniejsze pola popisu i działalności publicznej.

Nieraz, rozmawiając z teatralnemi bogami i pół-bózkami, miałem ochotę parsknąć śmiechem, bo przypominał mi się pewien fotograf w bardzo gorszonym kołnierzyku, z długimi włosami i brodą *à la* Rembrandt, który nie mówił inaczej, jak tylko: „my artyści“ albo inny znów zarozumialec, malarz pokojowy, wtrącający często w rozmowie słowa: „Ja, Matejko, Siemiradzki i t. d.“

Podobnie i wielu aktorom dzisiejszym zdaje się, że oni a Shakespeare, Molière, Corneille i Racine to wszystko jedno, a nawet, że gdyby ich nie było, to najgenialniejsi autorowie straciliby swe znaczenie.

Przywidzenie.—przywidzenie!...

Co do mnie, porównywał aktorów do siłaczy, którzy dźwigają ciężary ukute przez twórcze talenty; jednemu siły wystarczą na podniesienie dwudziestu funtów, drugi centnarami śmiga, jak gałką z chleba. Śmieszy mnie wszelako ów olbrzym, który łutowe podnosi ciężary z miną Atlasa, balansującego ziemię na małym palcu, i któremu się zdaje, że gdyby nie jego mięśnie, to ciężar straciłby całkiem swoją wagę.

Niestety, czas wielkich potentatów w sztuce przemija; karzelki najczęściej udają atletów.

Przed dwoma tygodniami złożono w grobie ostatniego śpiewaka polskiego wielkiej skali, pochowano Juliana Dobrskiego na Powązkach. Dwadzieścia lat temu, kiedy znakomity tenorzysta zamilkł na scenie warszawskiej, a ostatnie tony jego brzmiały w uszach i sercu publiczności przez cały ten czas i nic ich zgłuszyć nie mogło, nawet najwyższe *C* dzisiejszych królów tenorowych i najpiękniejsze *cantabile* włoskich artystów.

Dobrskiego wszyscy pamiętali i wspominali, a młodsze pokolenie, które go nigdy nie słyszało, na wiarę ojców czcilo w Dobrskim znakomitego artystę, co umiał do łez wzruszać nietylko publiczność, ale kolegów na scenie i grajków w orkiestrze.

Głos, cudowna rzecz w człowieku; zachwycają się poeci słowikami, ale czemże naprawdę najpiękniejszy tryl słowiczy wobec prostej a rzewnej piosenki, w którą śpiewak duszę swą wlewa, gdzie taki rajski ptak, coby mógł rywalizować z głosem ludzkim?...

W tem poetyckim porównaniu i zachwytach romantycznych, mojem zdaniem, za dużo na korzyść słowików przyznano.

Gdyby chodziło wszelako o to, komu lepiej było, czy słowikom dawniej, czy śpiewakom polskiej opery, niezaprzeczenie na stronę tych ostatnich przeważałaby się waga. Obecnie czasy się poprawiły; p. Myszyński około 10,000 rs. bierze rocznie za swój śpiew, na warszawskiej scenie, a Mierziński majątek zbija po Europie.

W epoce, gdy Dobrski królował w operze, polski tenorzysta nawet marzyć nie śmiał o takim wynagrodzeniu; nie obowiązywało nadużywane dziś przysłowie: „śpiewać darmo, boli gardło“; śpiewało się lepiej, niż dzisiaj, prawie darmo; nie licytowano swojego głosu i talentu przez miłość dla samej sztuki i przywiązanie do ojczyzny sceny.

Może to było niepraktycznie, ale szlachetności odmówić temu niepodobna.

O, niepraktycznie było bardzo, bo po trzydziestu pięciu latach pracy zaledwie z emeryturą na resztę życia schodziło się ze sceny; o majątku, o oszczędnościach, gdy się zwłaszcza miało rodzinę, mówić nie było można.

W sperandzie był tylko pogrzeb po śmierci, wspaniały, wieńce na trumnie, tysiączne tłumy ludu, śpiewy i muzyka, marsze żałobne i chóry nad grobem.

Taki pogrzeb miał Dobrski, a niebo, jakby wypróbować chciało uczucia Warszawiaków, rozpędzało kondukt pogrzebowy strugami deszczu i majowego śniegu.

W okropną szarugę chowaliśmy „starego Jontka“, ale pomimo słoty i flagi pod namiotem z parasoli, zbity w jedną masę tłum szedł za trumną artysty, który był chlubą polskiej sceny i ostatnią przysługą spłacał mu dług pamięci.

W kilka dni po pogrzebie powtórzyła się stara i znana historia, ilekroć umrze literat lub artysta; dzienniki odkryły tajemnicę, którą z góry należałoby odgadywać w takich wypadkach, że rodzina nieboszczyka pozostała bez wszelkich funduszy, że potrzeba było wyprzedawać cenniejsze meble, zabytki lepszych czasów na opędzenie kosztów życia z dnia na dzień.

Smutny los!... ale wszyscy mniej więcej prędeż czy później uledez mu będziemy zmuszeni, my członkowie jednego „bractwa bosych apostołów“ sztuki, literatury czy opinii publicznej.

Dopóki się któremu z nas oczy świecą, jakoś to się pcha tę taczkę życia, ale ze śmiercią podwójne sieroctwo spada na nasze rodziny, a ostatnia łza, którą umierając przytomnie na łożu śmierci wylewamy, zaprawiona jest gorzkością troski: „co z wami się stanie, matko, żono, dzieci moje!...“

„Wdzięczna pamięć“ ogółu ma otrzeć tę łzę z martwych lic artysty, poety, literata, dziennikarza....

Rodzina „starego Jontka“ na taki sam los narażona została po śmierci sędziwego ojca swego: zapewne muzycy i melomani nasi wezmą to do serca i pośpieszą z pomocą wdowie, a koncert, czy widowisko urządzone z pośmiertną firmą Dobrskiego przysporzy choć trochę grosza na zaspokojenie koniecznych potrzeb.

Warszawa ma dobre serce, umie odczuwać cudzą niedolę i smutek; kochane miasto—ono się tego uczyło oddawna i pochrześcijańsku spełnia cnotę obywatelskiego miłosierdzia!...

Przed kilku dniami byłem na oryginalnym koncercie w Teatrze Wielkim, który mnie przekonał, że nie zawsze spłacamy tylko długi przeszłości, ale umiemy czasem dawać zaliczki na przyszłość; po długiej przerwie zjawilo się u nas znowu jedno z tych „cudownych dzieci“, z których wyjątkowo rozwijają się geniusze, a najczęściej złe warunki i wpływy koszlwią wielki, fenomenalny zadatek talentu i jak powiedział o kimś złośliwie wiedeński krytyk, dr. Hanslick: „cud się z czasem ulatnia, a dziecko zostaje.“

Tym razem stałaby się wielka krzywda sztuce i szkoda niepospolitych zdolności, gdyby z tego dziesięcioletniego Cherubinka, który dał się poznać z koncertowej estrady, nie wyrósł pianista pierwszego rzędu i kompozytor co się zowie.

Mały Józio Hofman, synek zdolnego muzyka i dyrektora orkiestry Teatru Wielkiego, jest na swój wiek zrawiskiem, jak Mozart i Szopen; nie śmiem porównywać go z dojrzałą twórczością tych mistrzów, ale początki ich podobne były.

Wyobraźcie sobie dzieciaka z buzią okrągłą, uśmiechniętą, jak Murillowski aniołek, z główką jasnowłosą, z rączkami jak listek winogrodu, siedzącego przy fortepianie i grającego utwory Haendla, Szopen'a, Liszta z towarzyszeniem orkiestry, improwizującego na dany temat, w oznaczonej tonacji, komponującego już mazurki, romanse i polonezy. Słuchając go z zamkniętymi oczyma, wierzyć się nie chce, że to nie jest gradorosłego człowieka, który lata całe strawił na ćwiczeniu palców.

Malec gra wszystkim z pamięci, a techniczne trudności, oile mu paluszczyki drobne pozwalają, pokonywa z taką swobodą, jakgdyby na dzie-

się lat przed urodzeniem ślęczał już nad klawiaturą.

Dochód z koncertu przeznaczony był na koszt dalszego kształcenia małego wirtuoza: i z tego względu publiczny popis Józia nie był gorszym; to nie wyzysk ani zarobek przedwczesny, ale próba talentu o zadatek, na rachunek przyszłości.

Rad-bym być świadkiem tego tryumfu, gdy po latach dojrzały młodzieniec i skończony artysta, stanie znów przed tą samą publicznością, która mu z takim zapalem pierwsze oklaski biła i odwdzięczy się za dzisiejszą pomoc koncertem na fundusz stypendyalny dla małych Józiów z niezwykłym talentem, aby nie potrzebowali przedwcześnie wstępować na estradę i liczyć na przypadkową zapomogę kapryśnego tłumu, aby nie potrzebowali dzielić się połową dochodu z teatrami i t. d.

Nie mam na zakończenie dzisiejszej pogawędki z miejscowych tematów nic szczególnego, chyba wspomnę o zeszlórocznym klubie welocypedystów, czy cyklistów, który stanowi przyczynek do naszego sportu.

Dlaczego ci panowie nie nazwali się klubem kołowców, kołowników, kołopedników i t. p.?

Na liście członków znalazłem wielu przedstawicieli naszego *high-lifeu*, a prezesem klubu jest wice-prezes Towarzystwa wyścigów konnych; ujeżdżalnia na Koszykach będzie niby filią Pól Mokotowskich; tylko tu, zamiast na żywych koniach, młodzi sportsmeni ścigać się będą na żelaznych rumakach.

— Oszczędność, Horatio, oszczędność—jak mówi Hamlet.

Jednocześnie z wiadomością o założeniu klubu cyklistów u nas, nadeszła wiadomość o zawarciu Towarzystwa imienia Mickiewicza we Lwowie; literaci tamtejsi pod przewodnictwem d-ra Antoniego Małeckiego utworzyli na wzór weimarskiego Goethe-vereinu stowarzyszenie którego rzeczywistym członkiem, ma prawo zostać każdy, który cokolwiek o Mickiewiczu pisał; dla innych śmiertelników pozostaje tytuł członków wspierających. Towarzystwo zajmować się będzie studjowaniem, rozbiorem, i wydawnictwem dzieł największego z poetów naszych, ich rozpowszechnianiem, kultem pamięci Mickiewicza; z czasem może założyć muzeum pamiątek po nim i t. p.

Nie przesądzam, czy ono nareszcie nie będzie zmuszonym stawiać pomnika dla twórcy „Dziadów“ i „Pana Tadeusza“, jeżeli dzisiejszy komitet zaśnie już tak twardo, że nawet przez sen majaczyć przestanie.

Drugą wiadomość, bardzo żywotną i zajmującą, podały z Galicji nasze pisma o kolonizacji żydów kosztem *Alliance israelite*. Instytucja ta, opiekująca się synami Izraela w całym świecie, przeznaczyła znaczny kapitał na zakupywanie im ziemi i osiedlanie ich na roli, uczenie agromonii i tworzenie klasy pożytecznych obywateli, uspołecznionych przez nowy rodzaj zajęcia.

Pierwsza kolonia rolnicza, złożona ze 150 młodych ludzi, wyjechała w d. 10 b. m. ze Lwowa na Podole Galicyjskie, gdzie rozpocznie nową praktykę gospodarską.

Cały projekt i warunki wykonania noszą cechę postępu i oświaty, począwszy od reformy ubioru, wymaganej od starozakonnych osadników.

Zobaczmy, jakie plony wyda to oczyszczone ziarno.

Quis.

ŁUCYA Z KSIĄŻĄT GEDROICÓW

RAUTENSTRAUCHOWA.

(Dalszy ciąg).

Co za okrutna ruina wszystkich odrazu nadziei! co za cios uderzający w serce trzech biednych kobiet, oddalonych od kraju i zostawionych teraz samym sobie wśród nieprzychylnych ludzi obcych!

Przepadało im nagle wszystko najdroższe, co pozostawiły za sobą, i nie tylko serca musiały pękać z bólu, lecz i położenie materyjalne staowało się niezmiernie trudnem. Autorka *Wspomnienia Rodzinne* nie dotyka tego wcale, jakkolwiek już wtedy piętnastoletnia znać i niewątpliwie odczuwać musiała te troski, tem cięższe do zniesienia, gdy przychodząc razem z utratą dóbr innych, droższych sercu, dolewają do kielicha żółci i hyzopu ostrego swego octu. Jest ona wogóle bardzo wstrzemięźliwą w wyrazie uczuć, które przychodziły wstrząsać jej młodem sercem dziewczęcia i rzadko kiedy jakie słów kilka da poznać, co się wtem sercu działo. Zapisuje jedynie fakt, który ma mówić sam przez siebie i tu jest tak samo. Księżniczka Kunegunda otrzymała zwykłą pensyą damy honorowej, 500 franków miesięcznie, lecz to starczyć mogło jedynie na służbowe stroje dworskie, wykwinne, więc kosztowne, a tam w zniszczonych przez wojnę wioskach nad Niewiażą, nie było już gospodarza, któryby z łanów „pięknego, żyznego kraju” plony zbierał. Ale Napoleon, który dla celów ambicji swojej z zimną krwią kruszył istnienia ludzi i narodów, miał dla zbliżonych do siebie pewne delikatności uczucia, które też tak gorąco przywiązywały do niego, i oto, gdy z raportów, otrzymywanych z teatru wojny po powrocie jego do Paryża (18 Grudnia 1812 r.) dowiedział się o przebiegu akcji wojennej nad Wartą, i losie generała Gedroicia, przeznaczył natychmiast jego żonie 24,000 franków emerytury rocznej, i posłał do niej księcia Bassano, aby jej doniósł o tem i wyraził jego współczucie dla jej boleści.

Ale spotyka się tu jeden jeszcze rys tej wyższej szlachetności uczucia, które mimo wszystkiego, co przeciw niemu powiedzieć można, ten wielki człowiek miał w głębi swojej. Po powrocie z kampanii rosyjskiej, a wrócił w nocy, bez żadnego orszaku, powozikiem małym i musiał się dać poznać, aby mu otworzono bramę, zastał stolicę Francji posępną, smutną, on przecież „żądał, aby Paryż nie miał przerażonej miny” i dawszy ludziom do zrozumienia, że chce balów, zabaw, sam pilnował zebrań w Tuilleryach. Lecz na pierwszym z nich poszukał zaraz wśród grona wszystkich dam honorowych, zebranych poza krzesłem młodszej cesarzowej (Maryi Ludwiki), tej, która w każdej chwili mogła zostać sierotą, i przystąpiwszy do niej, pytał o matkę, o wiadomości od ojca, a wreszcie, zwróciwszy się do jej towarzyszek, rzekł głośno: — „Przynajcie panie, żem was udarował pięknym kwiatem, i że mi za to należy się od was podziękowanie.”

Musiano mu odpowiedzieć niskim ukłonem, a w słowach, które autorka *Wspomnienia Rodzinne* go, pisze przeszło w lat siedmdziesiąt po zdarzeniu, bo w 1884 r., czuć jeszcze pewne wzruszenie, gdy przypominając sobie, jak „chciał się ująć za tą, której ubliżono” przypomina, że rzecz miała miejsce w chwili nadszycia już burzy losu i niemal w obliczu strasznego kataklizmu, który go wyrzucił na skałę Stej Heleny i uczynił jeńcem dzikiego strażnika.

Napoleon zapragnął inaczej jeszcze zająć się losem córki oddalonego ojca. Chciał ją wydać za mąż, za hrabiego Caulincourt, wielkiego koniuszego cesarskiego dworu, obdarowanego już poprzednio wielką donacją i tytułem księcia Wicency. Pana młodego nie było wtedy w Paryżu; wysłany przez cesarza z jakąś ważną misją dyplomatyczną, bawił gdzieś daleko; ale gdy księżniczka Kunegunda, wezwana do Malmaison przez Józefinę przystała na ten związek, matka niebecznego przybyła jej podziękować i odbyły się zrekowiny, po których jednak ślub nie miał nigdy nastąpić. Koalicja Europy zbliżała się do granic Francji, a gdy wojska sprzymierzone przeszły Ren, stał się popłoch w zagrożonym już teraz Paryżu i ludność ogarniona trwogą, lekającą się takiego pożaru stolicy Francji, jakiemu uległa Moskwa, uciekała pełna przerażenia. Cesarzowa Józefina wyjechała — dążyła do miasta Evreux, do posianej tam w pobliżu włości: Navare, już też i broniące Paryża działa zaczęły grzmieć z wyżyny Montmartre i księżna Gedroiciowa, niewiedząca co począć ze sobą i z córkami,

czekała z przerażeniem strasznej chwili szturm i wzięcia Paryża, gdy naraz karetą z cesarskimi herbami Francji stanęła przed domem. Józefina w chwili wyjazdu zatriosowała się pocziwie o swoją damę honorową — o biedne, samotne kobiety, i kazała oddzielić jedną z karet dworskich jej orszaku, aby księżna mogła z córkami podążyć za nią do Navare. Cesarzowej już nie było w chwili, gdy to nastąpić miało: nagłono o wyjazd najspieszniejszy, bo wojska nieprzyjacielskie już były u wszystkich bram miasta, i lekano się, czy karetą z cesarskimi orłami przepuszczoną zostanie?

Piętnastoletnie dziewczę przechodziło przez drugi już dramat takiej chwili strasznej, takiej ucieczki, która była może więcej niebezpieczną od pobytu w mieście, zajmowanem przez nieprzyjaciela!

Nie znajdujemy we *Wspomnieniu rodzinnem* wzmianki żadnej, któraby nam odmalowała wrażeń tej chwili, nie można jednak wystawić ich sobie inaczej, jak tylko pełnemi popłochu i trwogi, którą musiała czuć dziewczę tak młode, choćby z duszą najbardziej bohaterską. Pałac w Navare był duży i wspaniały, ale już go zastano przepelnionym. Królowa Hortensya była tam przy matce z młodszym synem, późniejszym Napoleonem II; była p. Walewska, wiele pań i panów, których nazwisk pisząca nie przypominała sobie. Urzędnicy dworu cesarzowej pozabierali ze sobą mundury służbowe, ale nie był to ani czas, ani miejsce dla etykiety dworskiej. Dwa razy dziennie przychodziły z Paryża sztafety, powiadmiając cesarzową, co się dzieje. Mdląca biedna, czytając je, bo człowiek, któremu została zawsze wierna, choć łączące ich węzły się zerwały, padał z wyniosłej kolumny losu. Sława i szczęście odstępowały go, odstępowała i ta druga kobieta, ta córka Cezarów której ona z rozpaczą w sercu musiała zrobić miejsce, a która zająwszy je, ani nie dała szczęścia, ani go sama nie otrzymała. Gdyby Józefina była w tej wyrocznej chwili cesarzową francuską, byłaby się dała raczej zabić na tronie, który trzeba było upilnować dla męża, niż ruszyć się z niego i kto wie czy Paryż byłby wtedy kapitulował i czy losy Bonapartego i związanych z nim narodów nie byłyby poszły innym torem, trzymając się koła uchwyconej znów Fortuny?

Jaki wir, zamęt wypadków i wrażeń musiał uderzać w tych chwilach ciężkich na serce i umysł młodej Łucyi Barbary dowodzi to, że w pamięci jej zatarła się liczba czasu przepędzonego w Navare. Pamięta przecież drobne szczegóły wyjazdu i powrotu do Paryża: pamięta, że księżniczka Kunegunda jechała z cesarzową, że zaś do karety księżny Gedroiciowej wsadzono p. Walewską. W Paryżu, który się roił tłumami wojsk sprzymierzonych: Niemców, Rosyan, Anglików, nie znaleziono już swego dawnego mieszkania na placu Vendôme. „Przy wejściu wojsk obcych, nie pytano się o kwatery, rozmieszczono się gdzie było miejsce próżne” Pomieszkaniem księżny zajmował generał rosyjski i trzeba było szukać innego, lecz znaleźć było trudno. Musiano pomieścić się w dwóch izdebkach na czwartym, czy piątym piętrze, gdzie z wielkim trudem przychodziło się drapać. „Po cesarskich złocistych komnatach”, był to przeskok ogromny, utracono też wiele rzeczy, przy nagłym wyjeździe zostawionych. Po upływie siedmdziesięciu lat czasu pozostała jeszcze pamięć „wielkiego żalu” uczuwanego wtedy po tej stracie, która między innymi obejmowała dziennik, z dnia na dzień pisany przez Łucyą Barbarę z rozkazu nauczyciela języka francuskiego dla wprawy stylowej. „Wielce by mi się teraz przydał przy spisywaniu tych wspomnień” dodaje i pisze, że w kilka dni potem musiano w owych małych izdebkach poddasza przyjmować „niespodziewanego gościa.” Wielki Książę Konstanty, który znał jeszcze z czasów wileńskich generałową Gedroiciową i córkę starszą, przybył je odwiedzić.

Zjawił się wkrótce gość drugi, „starzec zgrzybiały” a „dawny przyjaciel” Kościuszko. Cesarz Alexander wezwał go do siebie do Paryża; Kościuszko jeszcze wtedy nie wiedział po co? Powrotu do kraju już nie pragnął, nie chciał go, nawet

przy żadnym rzeczy układzie. „Na wiadomość, że mój ojciec więcej, niż od roku, jako jeńiec wojenny jest nad Białem Morzem trzymany, zalał się łzami” — pisze Łucya Barbara i choć w otwieraniu sobie serca, w wyrazie przenikających je uczuć bardzo jest powściągliwa, czuć jednak w kilku-wierszowym opisie tego spotkania tkliwość rzewną. „Zgrzybiały starzec” nie chcący już wracać do ziemi rodzinnej, nie chcący żadnej łaski losu! Mogła, musiała nawet postać ta wzruszać, zwłaszcza istotę młodą przed którą życie otwierało dopiero widnokręgi swoje. Czy przeczuwała już wtedy, że i jej dzieje będą miały w sobie dość tragiczności, aby inne znów, po niej następujące pokolenie, czuło się wzruszonem, gdy je poznawać będzie?

Józefina wróciła do Malmaison, ale nie wróciła już tam dawne życie, dawna jego etykieta i porządek dworski, przy którym niegdyś obstał silnie Napoleon, aby tej, której zabrakło nagle szczęścia, nie ubyło nic z pompy życia zewnętrznej, z zewnętrznych oznak wielkości i majestatu. Teraz była tam tylko boleść, żal, ściśnięcie serca śmiertelne, jak się pokazało wkrótce; aż naraz księżniczka Kunegunda odbiera wezwanie stawienia się w Malmaison w charakterze damy honorowej, bo cesarz Alexander zapowiedział tam swoją bytność, więc trzeba było na przyjęcie go wskrzesić marę przepadłej wielkości. Dla księżny Gedroiciowej, był to jednak wypadek innego — wielkiego znaczenia. Nad Białem Morzem było dwóch jeńców z utęsknieniem patrzących w stronę rodzinnego kraju był w szpitalu więziennym człowiek, drogi sercu księżniczki Kunegundy nie tylko jako krewny: i ona oto miała możność zbliżenia się cesarza Alexandra, który ją znał jeszcze z czasów wileńskich. Chwila była ważna, stanowiąca o doli lub niedoli rodziny, bo ojciec nie młody już był i zmęczony życiem, spędzonym wśród najtrudniejszych jego warunków.

Księżniczka Kunegunda stawiała się w Malmaison; prosiła o ułaskawienie ojca i brata, otrzymała je przy poparciu cesarzowej Józefiny, która błada i znędniała, ledwo już zdolna trzymać się na nogach, wzbudzała litość i współczucie wszystkich. Ale nie tu był jeszcze koniec rzeczy, cesarz Alexander zapowiedział, że chce przepędzić wieczór u generałowej Gedroic, wskazał osoby, które życzył sobie tam spotkać i należało przyjąć ten zaszczyt. Cesarz Alexander w taki sam sposób odwiedził księżną Jabłonowską, widział tam wielu Polaków, u księżny Gedroiciowej chciał spotkać innych. Odpowiedni apartament znalazł się teraz, już oczekiwał oświecony i ozdobiony stosownie, gdy naraz padł grom — niespodziewany, choć spodziewany mógł być. Cesarzowa Józefina umarła; cesarz Aleksander chciał uczcić ten zgon pękającego serca żałobą, i przysłał adjutanta dając znać, że nie przybędzie.

„Cios był okrutny dla serca” pisze Łucya Barbara. Pogrzeb już nie cesarski, cichy i skromny odbył się w kościele parafialnym, w Reuil. Księżniczka Kunegunda wróciwszy z niego, ledwo zdołała dojść do łóżka. Nieprędko zeń wstała; przebyła chorobę ciężką i długą, która matkę i siostrę trzymała w trwodze i niepokoju o jej życie.

Tymczasem w Tuilleryach zamieszkał Ludwik XVIII, a monarchowie, którzy go na tron przywrócili, opuścili Paryż — głuchy, w posępnem sercu i umysłowie przynięceni jak obumarły. Polska rodzina znajdowała się w położeniu bolesnem. Pobyt w Paryżu już teraz nie miał racji; narzeczony z lepszych czasów nie ukazywał się, nie upominał o rękę tej, z którą był przez prokurację cesarza Napoleona związany. Nie kochał, tak, jak i kochanym nie był. „Serce narzeczonej błąkało się gdzieś między rannymi w nieznanym szpitalu”, gdy jego uczucie, oddawna należące do innej, zwracało się też w drugą stronę. Zaraz po wyjeździe Napoleona na Elbę, książę Wicency oddalił się z Paryża i ożenił z wdową jakąś, z tą, którą kochał aż dotąd w tajemnicy.

Wszystkie węzły łączące z Francją przyrywały się zatem, a dochody pobierane ze skarbu ce-

sarskiego od czasu zawichrzeń wojennych ustały, i księżna Gedroiciowa „nie wiedząc, co począć” napisała do kraju—do szwagra, Jerzego Białopiotrowicza, niegdyś Pisarza Litewskiego, prosząc o wiadomość o mężu i synu, prosząc o radę i sposób powrotu do ojczyzny, bo droga to była wtedy długa i ciężka—kosztowna.

Białopiotrowicz odpisał wkrótce; do powrotu wzywał i pieniądze przysyłał, z drugiej zaś strony rząd burboński wypłacił zaległe pensje. Wypłacił je już poprzednio i innym osobom, należącym do dawnego dworu, więc księżniczka Kunegunda, dowiedziawszy się o tem, zgłosiła się także. Król kazał jej stawić się na audyencyjną osobistą; księżniczka przybyła w żałobie, którą po cesarzowej Józefinie nosić jej się godziło, co przecież nie obraziło bynajmniej Ludwika XVIII; przeciwnie — To dobrze — rzekł, gdy mu się tłumaczyła, z powodu, który ją zmuszał do złamania pewnych form etykiety—tak się należy....

Ciekawy był niektórymi wiadomościami o dworze Napoleona, chciał też zasięgnąć wieści pewnych o emigrantach, którzy niegdyś udali się za nim do Polski, rozmawiał o Warszawie i dowiedział się o losie swego dawnego kamerdynera. Pensje matki i córki, zostały zaraz nazajutrz wypłacone, prawie jednocześnie z pieniędzmi przysłanymi z kraju i szczególnym, a szczęśliwym zbiegiem okoliczności przyszedł też i list od młodszego Białopiotrowicza, od tego ukochanego, którego miłość nie dopuściła do serca pięknej Kunegundy Gedroiciówny, żadnego z cudzoziemców, wśród których przebywała w tych właśnie latach rozkwitu młodego życia, które dla serca o miłość się upomina. Teraz dochodziła ją wieść radosna, Jerzy Białopiotrowicz był wolnym!

Ale w jak dramatyczny i niezwykły sposób się to stało! Zamknięty w szpitalu, ciało zmarłego w nocy kolegi na swoim łóżku położył, a sam wymknął się cicho z sali na kurtylarz, z którego uszedł niepostrzeżony na poddasze. Z okienka w dymniku przyglądał się własnemu pogrzebowi i widział, że dnia tego pójdzie gdzie należy raport, że raunny, numer 114, spoczął w grobie. Był już zatem nieboszczykiem, cieniem i doczekawszy się nocy, w odpowiednim przebraniu uciekł, przebierał się wśród niewypowiedzianych trudów lasami, drogami bocznymi w kierunku strony rodzinnej, aż wreszcie dostał się do domu znajomego, gdzie wiedział, że przyjętym zostanie. Odchorował ciężko odyseję tę niezwykłą, ale przeżył, przetrwał wszystko i pisał teraz do kobiety kochanej:—Jestem!

Jerzy Białopiotrowicz syn, należy do tych oryginalnych, awanturniczych postaci, które wydawała bolesna epoka kończącego się wieku i społeczeństwa, które się z jego dobijającą godziną rozpadało. Piękny, męsko-dzielny, z rodu ludzi szlacheckich, wszystkie swoje przymioty i szczęśliwe losy przywileje marnował niefortunnie — przemieniając je w sobie na wady, na niedostatki i winy moralne i tak, jak się w pamięci Łucyi Barbary odbił, na kartach *Wspomnienia rodzinnego* odmalowany, wart jest poznania. Ojciec jego, także Jerzy z imienia, a którego był wśród czterech braci trzecim z kolei synem, człowiek bogaty, wysoki już dygnitarz Rzeczypospolitej, był zamożnym ziemianinem, właścicielem dóbr Brycianka w okolicy Nowogródka, i miał wszystkie te cnoty, którym przeciwstawiały się wady syna. Wysoki i pewnej już tuszy, kontuszu i żupana do śmierci nie zdjął, pas lity wspaniale od tego nosząc, pociągał do siebie nie tylko wzrok, bo i serca lgnęły do niego dla „żelaznej prawości charakteru,” która sprawiała, że szlachta okoliczna we wszystkich zwadach i sporach swoich obierała go na arbitra, a że z dawnego swego urzędu wyniósł niepospolitą znajomość prawa, więc zdanie jego wystarczało za dekret, od którego nie chciano już apelować. Ztąd też dla umarzanych tak przez niego procesów dostał się mu żartobliwy przydomek zbójcy adwokatów.

Mieszkał on wygodnie i na pewien staroświecki sposób wspaniale w obszernym, drewnianym dworze z pięknym ogrodem i sadem starym, wśród cienistych szpalerów i lip starożytnych, gościnny na tę szeroką staroświe-

cką skalę, która kazała przed żadnym panem bratem drzwi nie zamykać. Że przecież człowiek był wielkiej powagi charakteru, gościnność ta cicha była i spokojna, zwłaszcza, że chwila nie podawała się wedle pojęć gospodarza do hucznej i wesołej zabawy. Jest we *Wspomnieniu rodzinnym* wzmianka, że Mickiewicz i Domejko jeszcze w Paryżu przechowywali, jako obrazek z lat młodych uniesiony, pamięć Brycianki i jej właściciela: kochanego, szanowanego starej daty pana, który umiał wieść żywot dostojnie obywatelski.

Że przecież miał synów czterech i dla nich chciał utrzymywać stosunki szersze, więc raz do roku, w czasie wakacji szkolnych, jesienią, wyprawiał pan pisarz litewski wielkie polowanie, wśród lasów i kniei swych starych łowy wspaniałe, na które się zdaleka i zblizka zjeżdżano. Uważał—że w kraju, gdzie niema wojska, polowanie powinno młódz do rycerskości zaprawiać; lecz na tych to właśnie łowach poznał się syn jego, imiennik, z księciem Dominikiem Radziwiłłem, ordynatem nieświeżkim: hulaką i człowiekiem lekkich obyczajów, rozwodnikiem i rozwodzącym. Ojciec usunął go z pod tego wpływu, i wyprawił do księcia Czartoryskiego do Puław, a gdy przyszła wojna, młody Jerzy Białopiotrowicz wszedł pod komendę generała Gedroicia, który mu był wujem; że przecież pokochał się w jego córce i kochanym został, wplótł się więc nieszczęśliwie w losy rodziny, bo ojciec na małżeństwo stanowczo nie pozwolił, zabronił go nawet, i piękna księżniczka Kunegunda dopiero po jego śmierci, więc po przekwitnięciu wiosny życia, za wiernie kochanego wyszła—jeszcze przed skończeniem żałoby.

Ale to już należy do epoki późniejszej, którą poprzedziło wiele zdarzeń innych, a zwłaszcza powrót do kraju rodziny: matki, córek i małego tniego jeszcze syna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wszystkie te pozaczynane intryki niebardzo mu się dotąd powodziły. Królowa wprowadziła słuchając, przypuszczała go chętnie, posługiwała się nim — ale nazbyt rozumna była, aby nie czuć w tem fałszu i nie przeniknąć intrygi.

Król, mniej znający się na ludziach, pobłażliwszy, łatwiej uraz zapominał — tolerował podkanclerzego, ale instynktowo cierpieć go nie mógł i zbliżyć się do siebie nie dawał zbyt. Co Radziejowskiego niecierpliwiło, bo znał Jana Kazimierza dla innych pobłażliwym.

Im się on bardziej nabijał tem Jan Kazimierz wstręt mu okazywał dobitnie.

Żona zносиła go, a dla spokoju w domu wiele przebaczała, ale znała go już nadto, aby się ludzi, że z nim kiedy szczęśliwą być może. Jawnem było teraz, że godził tak na jej fortunę, jak na te, które po dwóch pierwszych żonach zagarnął.

Przyjaciół, na których-by mógł rachować, nie liczył wielu — zato pozyskiwanych kubkiem i papką wesołych towarzyszy znajdował wszędzie i tymi się posługiwał.

Wiosna się powoli już obiecywała.

Strzębosz, mając wyruszyć do chorągwi—chciał się przynajmniej z Bianką pożegnać; ale dostać się do niej było trudno, gdyż matka pilnowała okrutnie.

Przez kilka dni chodził do Dominikanów, cza-

tował na drodze, ale spotkać się z nią nie mógł. Około kamienicy stojąc na czatach, w oknie nawet nie spostrzegł nikogo, oprócz starej Bertoni, ale niedarmo czasu tyle strawił na dworze, pomiędzy swawolną młodzieżą, pod okiem dosyć pobłażającego pana.

Zrana więc, posługując królowi, gdy się ubierał—przebąknął, że stara Bertoni bardzo się żaliła i bolała, że możeby N. Pan ją jakim dowodem pamięci chciał pocieszyć.

Król nie był w usposobieniu łagodnem — i zamruczał:

— A tobie co do tego?

Nastąpiło milczenie. Strzębosz się już odzywać nie śmiał, ale Jan Kazimierz — pomyślał o starej słudze. Nie miał teraz nikogo, co by mu od podkanclerzyny przynosił wiadomości. Włoszki użyć nie było można, ale przez nią kogoś wyszukać... do kogoś z fraucymeru dotrzeć.

Król już był całkiem ubrany, gdy się z twarzą nachmurzoną obrócił do Strzębosza:

— Idź-że, powiedz tej starej, aby wieczorem się zgłosiła.

Dyzmie więcej nie było potrzeba.

Porzuciwszy wszystko, pobiegł na rynek. Tym razem tak mu się powiodło, że właśnie powracając z kościoła spotkał Biankę. Dziewczę się mocno zdziwiło, iż śmiał ją przeprowadzać na górę po wschodach. Towarzyszka stara odpędzić go próżno usiłowała.

— Ja jestem przez króla tu przysłany—odezwał się Strzębosz—więc idę śmiało.

Po wschodach podróż szła nadzwyczaj powolnie. Dyżma się zatrzymywał co chwila, dziewczę niebardzo śpieszyło, stara towarzyszka, pozostawszy na ostatku, wyprzedzić ich ani napędzić nie mogła. Ale wreszcie drzwi się w górę otworzyły... śmieszki na wschodach stały się nieopatrznie zbyt głośnymi—Bertoni wyjrzała w dół i poczęła krzyczeć w niebogłosy.

Strzębosz się jej kłaniał.

— Pięknie pani przyjmuje królewskiego posła! Jestem od samego króla JMci wysłanym do niej.

— Kłamiesz! — zawołała gniewnie Włoszka.

— Mówię świętą prawdę.

Wszedł tymczasem za Bianką na górę Dyżma, ale stara naprzód się zajęła tem, aby córkę uprzątnąć i zamknąć ją na klucz, i dopiero wyszła do niego nadąsana.

— Skaranie Boże z tym natrętem—poczęła, wchodząc — niemał-by też król kogo innego do mnie wyprowadził!

— Z pewnością N. Pan dziesięciu-by miał do wyboru na miejscu mojem—odezwał się Strzębosz—ale widzicie jawnie, że mnie i miłość moją król ma w opiece, dlatego mnie tu zawsze posyła.

Bertoni zagryzła usta.

— Spraw-że swoje poselstwo; ja czasu nie mam—rzekła sucho.

— N. Pan kazał mi powiedzieć, abys pani dziś wieczorem przyszła na zamek, ale — do nikogo się nie zgłaszała, tylko do mnie, a ja ją wprowadzę.

Starej twarz zczerniała aż z gniewu; mruzczyła coś, ale tak niewyraźnie, że Strzębosz mógł się tylko dorozumiewać przekleństw. Nie odpowiedziała nic. Czekał.

— Cóż mam odnieść?—zapytał.

Nazżymawszy się długo, Bertoni zwróciła się z miną pogardliwą ku niemu.

— Przyjdę—rzekła — ale waszmość sobie nie pochlebiaj i nie wyobrażaj, żebym ja kiedykolwiek, choćbyś jaką miał protekcją króla, pozwoliła się zbliżyć do mego dziecka.

Sto razy to słyszałeś ode mnie.

— Tak jest — odparł Strzębosz — słyszałem, słucham, słyszę, i—nie wierzę.

Chciał mówić dłużej, ale Włoszka, do najwyższego stopnia rozdrażniona, rzuciła się ku drzwiom i wyszła, zamykając je za sobą.

Dyżma po chwili wynosić się musiał.

Wieczorem król sam zagadnął o Włoszkę, wprowadził ją Strzębosz. Jan Kazimierz stał zakłopotany.

— Widzisz—rzekł do niej—gotuję się na wielką wojnę. Raz z tem obrzydłym chłopstwem

skończyć potrzeba, co przy pomocy Bożej teraz się musi dopełnić. Wkrótce wyciągniemy.

Przeszedł się po izbie parę razy.

— Masz tam kogo znajomego we francymierze podkanclerzyny? — zapytał, nagle stając przed starą.

— Ha! jeszcze to nie wywietrzało! — odparła Bertoni.

Król się zmarszczył.

— Nie mów mi o niej lekko — rzekł poważnie — to jest kobieta nieszczęśliwa. Wybrała sobie takiego męża.

— Co jej się bałamucić nie pozwala? — rozśmiała się Włoszka — ale Jan Kazimierz nogą uderzył w podłogę i pogniwał się.

— Nie waż mi się mówić tego!

Włoszka ruszyła ramionami, podparła twarz ręką i stała milcząca.

— Masz kogo znajomego we francymierze? — zapytał król.

— Pewnie, że mam — poczęła Bertoni. — Sama pani podkanclerzyna była na mnie łaskawą, kupowała u mnie koronki, jedwabi.

Łagodniejąc, przystąpił Jan Kazimierz do niej.

— Zajdź tam, ale nie ode mnie; nie — dowiedz się: co się tam dzieje? Jak oni z sobą są? Ten gbur jej wszystko naprzekór czyni? ona się zalewa łzami. Dowiedz się... przyjdiesz mi donieść... ale o mnie niema mowy. Jestem królem i opiekunem, więcej nic — rozumiesz: więcej nic. A sprawisz się źle — nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Mówił tak poważnie, stanowczo pokrólewsku, że Włoszka nawykła się z nim bardzo poufale obchodzić — tym razem spokorniała.

Skorzystała tylko z posłuchania, naprzód prosząc, aby jej król Strzębosza nie posyłał nigdy, potem się uskarżając na zaniedbanie i zapomnienie.

— Mam i bez tego dosyć na głowie — odparł król w końcu — nie pora teraz bzdurstwami się zajmować, a ja o wiernych sługach przecie nie zapominam nigdy. Co się tknie Strzębosza, taki on dobry, jak i drugi, a ja go lubię.

Wyrzekłszy to, król odwrócił się.

— Daj mi wiadomość — dokończył jeszcze i, już na Włoszkę nie zważając, przeszedł do karłów którzy się w sąsiednim pokoju, swym zwyczajem czubili. Jedna z małp na łańcuszku wmieszała się też do domowej wojny i naśladując karłów, po głowie Babę tłukła.

W sam czas je rozerwano.

Trzeciego dnia Bertoni była na zamku i usiłowała przez któregoś innego z dworzan dostać się do króla, ale ci uprzedzeni, pozbywali się jej póty, aż nadszedł Strzębosz.

Z wielką uprzejmością wprowadził ją do garderoby, bo tu król podobne odwiedziny zwykł był przyjmować.

Bertoni zaczęła opowiadać z żywością wielką.

— Dostałam się do pani podkanclerzyny, ale gdyby nie koronki i jedwab, pewno-by mnie nie dopuścili, taki tam dozór nad wszystkimi, co wchodzi do pałacu. O! nie tak, jak bywało za Kazanowskiego! Naówczas ona tam była panią i królową, a teraz jest niewolnicą. Tak mnie wzięli na spytki, żem myślała, iż się chyba nie dostanę do jejności. Musiałam się składać koronkami i jedwabiem. Dopiero po wielu ceregeliach, z ręki do ręki... doszłam do samej pani. A! jak się ona zmieniła! zmizerniała, żółkła! oczy zapłakane; ale sobie rady da — bo w niej czuć panią. Jaby też na miejscu męża być nie chciała!

Król poruszył ramionami.

— Musiałam być bardzo ostrożną — mówiła dalej Bertoni — bo to po takich domach nie nowina pode drzwiami słuchanie. Więc dopiero, dobrą chwilę wypatrzywszy, szepnęłam jej, że... może ja tu od siebie nie przyszedłam, że wysoka osoba się mocno o los jej niepokoi... ale, uchowaj Boże, o miłości waszej mowy nie było...

Więc się naprzód biedne kobiecisko rozpłakało, ale potem, kiedy to nie zaczęło narzekać na ten dzień i godzinę, gdy mu swą rękę dała!

No, ja tam nie wiem, ale oni chyba z sobą żyć nie będą. Ona mężstwa nie straciła. Powiada mi potem: mam dwóch braci do mnie przy-

wiązanych; potrzeba będzie: oni mi w pomoc przyjdą. Ja się tak wywłaszczę i wyzuć nie dam, jak te dwie ofiary, które on zamęczył i odarł, nie! Będę dla niego karą Bożą za wszystkie grzechy jego. Uczynił mnie nieszczęśliwą; ja mu też nie dam spokoju zażyć, bo go nie wart!

Zatrzymała się Włoszka nieco, król słuchał z uwagą wyteżoną, a twarz mu się mieniła liłością i oburzeniem.

Bertoni ciągnęła dalej:

— Potem, znowu popłakawszy, powiada mi: Tymczasem mój pan maż zlagodniał trochę, ja też nie wydaję wojny. Znowu niby żyjemy w pokoju, choć on nie potrwa. Był nawet tak uprzejmym, iż mi doradzał, abym mu towarzyszyła na wyprawę, ponieważ królowa jmoś także ma podobno jechać.

— To niech i ona jedzie! — przerwał król z widoczną radością — niech jedzie.

— Ona też nie ma nic przeciwko temu, ale powiada, że to podstęp jest i chytrłość, że albo nie wierząc jej, chce ciągnąć za sobą, albo coś zamysła, czego teraz odgadnąć trudno.

— Obawiać się nie ma czego, znajdzie obrońców — wyrwało się królowi niebacznie. — W podróż, na oczach ludzi nie będzie mógł jej prześladować, folgować musi, sam-by się potępił.

Bertoni mówiła jeszcze:

— Biedna pani! a co tam za dostatki i przepych koło niej! Cóż z tego, gdy wszystko oblane łzami.

Król ręce zacierał.

— Moja Bertoni — rzekł — jeżeli już raz się tam dostać umiała, a koronki ci otwierają drzwi, jak tylko będzie można dowiedz mi się znowu i przynieś mi wiadomość.

Włoszka głową dała znak, że gotowa jest to uczynić.

— Dobrze, królu mój — odezwała się — ale niechże ja mam co za mój trud, a nie potrzebuję więcej tylko, żebyś mi nie przysyłał tego młodego kosa swojego dworzanina, bo mi dziecko bałamuci, a ja mu jej nie dam.

Uśmiechnął się król.

— Chłopak uczciwy, przystojny i ja go lubię; co ty masz przeciwko niemu?

— Najpierw, że goły, jak turecki święty — zawołała podrażniona Bertoni — powtóre, że ani domu, ani łomu, nazwisko licha wie jakie, a ja córki nie wydam tylko za senatora.

Król szczerze się śmiać począł.

— Aby tak była z nim szczęśliwą, jak podkanclerzyna z tym gburzem!

To rzekłszy i nie przedłużając już rozmowy, wyszedł a Włoszka miała tę zgrzyotę, że Strzębosz ją wyprowadzał aż na dół po wschodach, i choć milczała, rozmową zabawiał.

Przygotowania do podróży były powszechnem zawieszeniem broni. Radziejowski, który na wyprawę tę wiele dla siebie rachował, wybierał się w drogę z wielkim dworem i taborem, a że żona jechała z nim, szły więc najpiękniejsze kołbki, kuchnie, srebra, namioty tureckie, kobierce adziamskie, wszystkie Kazanowskich splendory, na których, niestety, herby tkane nie dozwalały podkanclerzemu ukazywać ich za swoje. Miała wszakże służba nakaz surowy, opony, kobierce i wszystek sprzęt z herbami tak stawieć i pokrywać, aby owych godeł nie było widać.

Ponieważ wojewodowie i wojskowi naczelnicy każdej ziemi sami osobiście mieli prowadzić polskie ruszenia, więc przed samym króla wyjazdem do Lublina, około niego, oprócz pieczętarzów mało kto pozostał. Radziejowski, choć miał rajtary do stawienia, zlecił ją pułkownikowi, sam się nie ruszając od dworu i królowej.

Zależało mu na tem bardzo wiele, aby sobie Maryą Ludwikę pozyskać. Chociaż król i królowa teraz wielce byli przykładnem małżeństwem, a Jan Kazimierz pod wpływem wojennego ducha płochości się pozbył na teraz, Radziejowski jednak wiedział, że królowa męża znała i wielkiego affektu dla niego, ani zaufania w nim mieć nie mogła. Na to rachował.

W rozmowach wychwalał on przed nią króla,

lecz w sposób zdradziecki, przypinając mu zawsze jakąś łatkę, co gorzej, czyniąc go śmiesznym w jej oczach, o co nie było trudno.

Karły, małpy, zabawki króla, jego powolność dla służby, niestałość umysłu, choć Radziejowski wielbił serce, szlachetność, dobroć, dostarczały treści do przekasów, a najmniejsza okoliczność, zrzeczenie wyzyskana, pozostawiała ślad po sobie.

Podkanclerzy szczególnie nalegał na to, choć nie całkiem się niby odkrywając ze swą myślą, iż całe powodzenie wyprawy zależało od Maryi Ludwiki, i dowodził, że król powolnością swą mógł popsuć wszystko, iż ciągle bodźca potrzebował i straż, a nikogo oprócz żony nie słuchał...

Pochlebiali to królowej, która, wierząc w to, iż Radziejowski im i Rzeczypospolitej życzył dobrze wistocie, gotową była się poświęcić i w podróż się wybierać. Chciał, jak powiadał, wziąć z sobą żonę, aby bytność królowej w obozie nie była tak rażąca, na co królowa się godziła, choć, pani podkanclerzyny nie lubiła coraz więcej.

Napozór więc wszystko się inaczej układało, niż było w istocie, a przebiegły intrzygant zacieśniał ręce, obiecując sobie korzystać z zawikłań, i w potrzebie wywołać je, aby potem wystąpić jako pośrednik.

Z królową szło mu stosunkowo pomyślnie, ale z królem, który nie umiał udawać i zdradził się, Radziejowski rady sobie dać nie mógł. Weiskał się do niego, nachodził, przesiadywał, narzucał, służył nie mogąc w żaden sposób chłodu i wstrętu jawnego przełamać.

Król był zmuszonym go przyjmować i słuchać, ale czynił to z tak wyraźną odrazą, iż podkanclerzy, płaszcący się, zabiegający w końcu zniechęcił go, nie mogąc oszukać.

Nie dawał jednak za wygraną.

— Czekaj — mówił w duchu — będziesz ty mnie potrzebował, zmuszę cię, że się staniesz słodkim, ale wówczas ja będę drogim i za łada co nie dam się kupić.

Oplatać króla, wprawić go w kłopot, przymusić mu troski, było całem staraniem podkanclerzego.

Poza oczyma nie wahał się wyśmiewać go i każdą jego czynność przedstawiać albo jako śmieszną, albo jako podyktowaną mu przez królowę.

Właśnie w tej chwili, która w ciągu całego panowania, a może i życia, Jana Kazimierza jest najjaśniejszą, gdy on wistocie duchem się umiał podnieść i dłużej utrzymywać na tej wyżynie, niż kiedykolwiek, podkanclerzy go zmniejszał w oczach ludzi i zaufanie ich mu odejmował.

Stosunek ich był wielce osobliwy. Podkanclerzy zwykle, rozmawiając się z królową wpróżdzy, szedł na pokój do Jana Kazimierza, a jako pieczętarz miał sobie zawsze otwarte podwoje.

Król, już słysząc go nadchodzącego, zasępił się, krzywił i ustawiał tak, aby się albo kim od niego zasłonił, albo jakimś zajęciem uwolnił od rozmowy.

Naówczas rozpoczynała się formalna gra między nimi.

Z bezwstydną i natarczywą cynizną, jeżeli król zwrócił się nalewo, podkanclerzy przechodził nalewo, gdy król przeszedł wprawo, zabiegał z prawej.

Król odpowiadając głośno, głużył zapytanego i nie dawał się zbyć milczeniem. Niekiedy tak z pokoju do pokoju ściągł swą ofiarę i doprowadzał do najwyższego stopnia zniecierpliwienia.

Często, aby się go pozbyć, Jan Kazimierz na żądanie jego przystawał, dawał mu co chciał.

Radziejowskiego razem bawiło to i złościło, że pokonać nie mógł wstrętu i uprzedzenia. Widział na drugich, że król powolny dawał się skłonić im do życzliwszego usposobienia, względem niego zaś codziennie był wyraźniej niechętnym, mścił się dokuczliwością swoją.

W ostatnich czasach, on, co nigdy z królem o żonie swej nie mawiał, i w rozmowie o niej nie wspominał, umyślnie dla wypróbowania coś o niej napomknął. Jan Kazimierz nie usłyszał.

— Muszę się w. król mości pochwalić — rzekł

jednego dnia — z moją miłościwą panią małżonką, do zbytku przez nieboszczyka pieśczone, miałem srogię utarczki i przejścia, ale wszystko się szczęśliwie jakoś ukończyło pożądaną zgodą. Jejmość będzie królowej pani towarzyszyła zapewne w podróży.

Milcząc, król spojrzał.

— Trzecią żonę mam — dodał żartobliwie podkanclerzy — *expertus sum*, jak z niewiastami postępować potrzeba... pochlebiam też sobie, iż pani podkanclerzyny affekt pozyskam, choć przyznam się, niemało to trudu kosztowało.

Ani słówkiem nie chciał król na to zwierzenie się odpowiedzieć, ale Radziejowski niezrażony mówił dalej:

— Byłem zmuszony pewne wpływy, których się łatwo było domyślić i pewne stosunki porzywać. Są ludzie, co małżeństwa różnić mają sobie za zabawkę. Moja Elżunia miała przyjać i pochlebców do zbytku; zwolna ich poodsuwałem i oddalałem. Teraz do niej nikt bez mej wiedzy przystępu nie ma.

Przybycie kanclerza, szczęściem przerwało dalsze wynurzenia, które królowi wielką przykrość czyniły. Radziejowski wobec poważnej osoby duchownej zamilknąć musiał i począł biskupowi dworować.

Tego rodzaju dokuczliwe napaści powtarzały się niemal codziennie, a król nie miał sposobu zamknięcia się przed nimi. Radziejowski często przychodził, jako posłany przez królową, a wówczas jeszcze był zuchwalszym, bo się wciskał aż do sypialni. Dworzanie wszyscy doskonale znali ten stosunek i pomagali panu swemu do pozbywania się podkanclerzego, lecz jego zuchwalstwo przechodziło wszelkie granice.

Spróbował Radziejowski na niechęć N. Pana ku sobie żalić się przed królową, która wspomniała o tem mężowi.

Jan Kazimierz, co mu się względem żony rzadko trafiało, żymał się.

— Ale czegoż ten człowiek chce ode mnie? — zawołał. — Dałem mu pieczęć, do której godniejszych było siła, ma starostw dosyć, ożenił się bogato: niechże siedzi spokojnie. Że ja jego konwersacyi i towarzystwa nie lubię, tego nie taję.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRAWA KOBIETY.

(*Le droit de la femme*, par Charles Secrétan, professeur de droit naturel à l'Académie de Losanne, correspondant de l'Institut de France. Losanne—Paris. 1886).

Prawnik i filozof, autor dzieł, mających znaczenie poważne w literaturze bieżącego czasu „*La philosophie de la liberté*“, „*Le principe de la morale*“, podjął kwestyę praw kobiety, rozumiejąc wysoką jej doniosłość dla rodziny i społeczeństwa — dla narodów, jak to tłumaczy zaraz na pierwszych kartach książki swojej: „*Ekonomiczne i prawne stanowisko kobiety jest dziś kwestyą otwartą. Wiele dzieł, zasługujących na poważanie, usiłuje ująć ją w jej całości, gdy tymczasem częściowe reformy wprowadzają się stopniowo w obyczaj i prawo. Ważność tego zagadnienia przenosi o wiele (de bien haut), wszystkie inne poruszane obecnie, bo chodzi tu o pojęcie i ukonstytuowanie się ludzkości.*“

Autor nie stara się rozjaśnić rzeczy ze strony, któraby dotąd pozostała jakoby ciemną, bo wszystko, o czem potrzeba mu mówić, było już, i niejednokrotnie, roztrząsanem przez pisarzy niepospolitego rozumu i szerokiej wiedzy. I pisze nie dlatego nawet, że każda prawda wtedy dopiero wstępuje w czyn i działa w życiu, gdy zostanie po tysiąc razy omówioną przez tych,

k którzy ją rozbierają w sferze abstrakcyi — ale dlatego, że osobistość każdego pisarza przynosi do zagadnień tego rodzaju coś własnego w wyrazie uczuć i myśli. zatem coś nowego przez swój akcent indywidualny, który znajduje echo w indywidualnościach innych. Będzie zatem traktował rzeczy znane w literaturze, więc i przez ogół, zajmujący się niemi, ale ma on za sobą spostrzeżenia osobiste — rzecz niezmiernie ważną, nowe, w praktyce życia uwydatniające się zjawiska moralne i ekonomiczne, które odpowiadają tym *pro i contra* różnych szkół filozoficznych, i zasadom ich, jakoby przedyskutowanem już w oderwaniu. Żywe życie to próba ognia dla idei wszelkiej, tak też być musi i dla kwestyi praw kobiety: uczucia, namiętności, starcia, wyniki z ich potrać się wzajemnych i oddziaływań na siebie — wszystko to razem wykazuje dopiero wartość postulatów filozoficznych. Nawet życie samo niezaraz, nie natychmiast, oddaje w formach skończonych konsekwencje doktryn, wcielanych w nie. Pierwsze pokolenie, które je przyjmuje do rozumu i uczucia swego, jest jeszcze wychowanem w zasadach innych, za podstawę dlatego rozumu i uczucia służących, więc ukształtowanem inaczej, rozwiniętem wśród innych danych moralnych. Trzeba dopiero widzieć w działaniu drugie, trzecie pokolenie ludzi, wyniańczoneych duchem tak, a nie inaczej, aby sądzić po owocach drzewo wiadomości złego i dobrego, z którego jedli. To jest przyczyna, dla czego postęp jest tak powolnym. Ludzkość robi czasem szalone skoki, ale często też obraca się poza siebie i ogląda, zali nie zgubiła czegoś, nie utraciła wartości wysokiego znaczenia? Spróbowała w każdym razie — zmierzyła się: wysondowała wytrzymałość sił swoich i bezpieczeństwo kierunków, w jedną i drugą stronę życia wiodących. Passowanie się to jest, wyrabianie, nauka, mniej lub więcej kosztowna; w każdej takiej próbie zdobywa się przeciw coś na korzyść prawdy, na korzyść równowagi i harmonii różnych potęg człowieka, i niezbity axiomat: w naturze nic nie ginie... stwierdza się tu tak samo w moralnej i duchowej, jak w materialnej, fizycznej tej natury stronie. Każde sił ludzkich wywarcie — to w skutkach swoich krok na drodze postępu.

Autor zapowiada seryą prac w kierunku ruchu, którzy jedni zowią: *emancypacją kobiety*, co oznacza już pewne rzeczy zdeterminowane — określenie jej, jako wybijania się na wolność cierpiącej dotąd niewolę, ulegającej uciskowi, nieposiadającej praw równych komuś innemu, czyli mężczyźnie, więc dążenie do zrównania się z nim na wszelkich punktach działalności życiowej, gdzie jej do tego czasu nie było wolno tego, co jemu — gdzie ona była od czegoś odsądzoną, przesądnie usuniętą, lub siłą gwałtu w oddzielnosci, w upokarzającym niedopuszczeniu trzymaną. Drugi, którzy mianują rzecz *kwestyą praw kobiety*, stawiają ją na gruncie neutralnym, gdzie nic naprzód nie jest orzeczonem, ale wszystko rozbieraniem i dowodzeniem być może, i rozbieraniem, dowodzeniem być chce. Jest to wtedy jakoby sprawa na wokandzie, do której rozstrzygnięcia filozoficzne *libre arbitre* zyskuje przystęp wolny. Szwajcarski uczony w takiej roli głos podnosi. Najpierw roztrząsa: daje kwestyi stanowisko sporne, gdzie rozstrząsać i ważyć się ją będzie na zasadzie praw kobiety.

Obowiązki i prawa, to dwa bieguny żywota ludzkości! — „Rzecz to odrazu pod oko podpadająca, że kwestya praw kobiety wciela się (s'absorbe) w kwestyę ogólną istnienia prawa i rozstrzygają się też one obie wspólnie. Jeżeli prawo jest i może być jedynie wolą mocniejszego, jeżeli porównanie między tem, co istnieje, a tem, co istnieć powinno nie jest prawowitem (légitime) nie zawiera w sobie sensu słuszności, jeżeli niema żadnego porządku moralnego — filozoficzna kwestya praw kobiety nie posiada wcale zasady bytu.“

„Jeżeli, przeciwnie, jest jakiś porządek rozumny i rozumna wola ludzka czuje się obowiązana urzeczywistniać go, cała kwestya kobieca zawiera się w zagadnieniu: azali kobieta jest podmiotem prawa (sujet de droit); albo mówiąc inaczej: czy kobieta istnieje dla samej siebie, lub

też wyłącznie ze względu na kogoś drugiego; i w interesie tego drugiego, mianowicie mężczyzny? Nie sądzimy, aby kobieta istniała tylko dla samej siebie, bo nic tak nie istnieje z celem na własną istotę jedynie zwróconym. Ponieważ należy ona do ogółu, sądzimy, że i istnieje też przez ogół i dla ogółu, a szczegółowo dla ludzkości w której się mieści. I mężczyzna tak samo: ponieważ nie istnieje sam dla siebie — ponieważ istnieje dla ogółu i ludzkości, przez ogół i ludzkość — racją i cel istnienia ma też w ludzkości, której kobieta jest częścią niepodzielną. Ani kobieta, ani mężczyzna nie mogą się urzeczywistnić doskonale w przeznaczeniu swoim, jak tylko uzupełniając się jedno przez drugie. Nie rozwijają się, nie afirmują się w życiowej swej działalności inaczej, jak wspólnie — jak oddając się jedno dla dobra drugiego.“

Miłość jest tu łącznikiem i spójnią — w stosunku ich wzajemnym do siebie cnotą i prawdą najwyższą. Nie może ona jednak urzeczywistnić się tylko na podstawie prawa, które jest zastrzeżeniem wolności, a miłość jest najpierwszą i najdoskonalszą wolnością człowieka. Aby zatem miłość mogła spełnić w społeczeństwie swoje zadanie i przeznaczenie: wiążąc kobietę z mężczyzną, zasadniczą rzeczą jest, aby kobieta miała swoje prawa.

„Moralnie, religijnie kobieta jest, ani mniej, ani więcej, tylko inaczej, niż mężczyzna, środkiem dla dobra ogólnego, w którym zawiera się jej własne dobro.“

„Prawnie jest ona samej sobie celem, jest osobą prawną.“

Na tej dwoistej podstawie istnienia kobiety, tak zupełnie jak dwoistą jest podstawa istnienia mężczyzny — więc na tej ogólnie ludzkiej podstawie bytu człowieka w społeczeństwie, autor rozwija *kwestyę praw kobiety*. Ponieważ kobieta jest prawnie osobą, ma obowiązki. Ani opinia, ani prawo nie kusiło się nigdy zaprzeczyć kobiecie obowiązków, że zaś obowiązek nie istnieje nigdy bez odpowiedniego mu prawa, już z tego samego rodzaju się prawa kobiety. Ma, co najmniej, prawo wypełniać obowiązki swoje — oto już zasada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROMANTYZM POLSKI

w pojęciu Brandesa.

(Dalszy ciąg ob. N. 18).

Same tylko wierzchołki romantyzmu polskiego ukazał nam Brandes. Poeci mniejsi, choć może jeszcze bardzo znakomici, nie zwrócili jego uwagi, chyba tylko dla wyjaśnienia i porównania, czerpających z Mickiewicza. Przedmiotem odczytu była zatem poezja trzech wieszczów. W poezyją tę nie wciela się jeszcze całkowity nasz romantyzm, nie wyraziły się wszystkie jego kierunki; ale jego duch w najszlachetniejszej swej treści, jego poetyczność i artyzm najwyższy, nie potrzebują dla siebie nic więcej prócz tych trzech nazwisk — aby charakterystyczne rysy swoje wyrzeźbić w samowiedzy historyka i estetyka literatury. I tu jeszcze, na tym najwyższym stopniu objawienia się romantyzmu naszego, cudzoziemiec, który pierwaj poznawał nasze myśli niż mowę, naszego ducha niż dokonane dzieła, nie mógł nam dać ani historyi ani krytyki pragmatycznej, jaką daje znawca rzeczywisty nawet w odczycie publicznym, przeznaczonym, dla oświeconego, przypuszcmy, ale w każdym razie — tłumy.

To, co nam Brandes dał w swoim wykładzie, możnaby nazwać historyzofią poezyi naszej, dokonaną przez wielce utalentowanego i rozumnego dyletanta, który w swych wędrówkach literackich umie doskonale się oryentować, wypytywać o drogę i zdążać do celu. Zadaniem wykładu

nie było ani przedstawienie historii, ani rozbiór krytyczny lub ukazanie wszystkich, a choćby tylko wybitniejszych piękności romantyzmu naszego, lecz zrozumienie go, ujęcie jego ducha i charakteru. W tem celu właśnie Brandes, który, jak wiadomo, wyszedł ze szkoły Taine'a, jest jego wielbicielem i pod jego wpływem ukształtował ostatecznie pokrewną tainowskiej intelligencją swoją. Jak tamten nie dał historii literatury angielskiej, choć napisał pięć tomów dzieła, tak i ten w *Głównych prądach* nie pozwala nauczyć się historii temu, kto jej nie zna. Tożsamo dostrzegamy i w wykładach o romantyzmie polskim. Obaj krytycy są mistrzami w charakterystyce literackiej. Czego Macaulay dokazał w biografii, tego Taine i Brandes dokonywają w literaturze. Gdyby nawet to niedostateczne poznanie szczegółów—do którego wobec słuchaczy polskich przyznał się prelegent z takim zrozumieniem swego położenia—nie kładło tamy, to wrodzony, czy nabyty przez przyzwyczajenie, kierunek umysłu, nie pozwoliłby Brandesowi inaczej upostaciować swej prelekcji: mielibyśmy zawsze charakter, syntezę, psychologią poezji,—rzeczy bezwarunkowo najwyższe — ale i najtrudniejsze; a *in magnis et voluisse sat*. Cóż dopiero gdy pod tą ogólną charakterystyką sił twórczych i utworów, pod tą genezą i psychologią romantyzmu naszego, mógłby się podpisać każdy Polak?

Kto, mając słuchać Brandesa, nie zadał sobie pierwszej pytania: — Co też on powiedzieć może? — i nie znalazł na nie odpowiedzi w obrębie myśli tu wyluszczonej, tego przykro dotknąć musiało pierwsze zaraz porównanie romantyzmu polskiego do obrazu Gabryela Marxa, przedstawiającego oblicze Chrystusa z podwójnym wzrokiem. Cudzoziemiec używający takiego porównania wyraża tylko niewiadomość, w jakiej się znajdował, zanim się zbliżył i poznał; ale i publiczność przyjmująca oklaskami takie porównanie, niewiele wyżej od niego stoi—chyba, że nagrodzić chciała ładny obrazek, a nie myśl prawdziwą. Zawsze kochamy się w szychu, w świecidełkach, w zabawkach; zawsze poprzestajemy na złoconej łupinie; wyluszczenie treści idzie nam zawsze z oporem, z niechęcią, nawet i ze wstrętem. Wytęka nam to sam Brandes—i ma najzupełniejszą słusność. Dowiodły jej owe bezmyślne oklaski.

Poeta w romantyzmie polskim nie występuje jako artysta, ale przedewszystkiem jako wieszcz (*vates*). Tak jest—i tak być musiało. Poeci, rwąc się do nieba, czują jak ciężkimi łańcuchami przykuci są do ziemi. Chcą mieć jedną wspólną indywidualność z powszechnością swoją. Jednostajność kierunku, z tej właśnie solidarności, z tej abdykacji własnej, do bezpośredniego życia powołanej, osobistości wpływa. Kosmopolityczna różnorodność człowieczeństwa niknie w syntezie jednego uczucia. Indywidualność poetów przejawia się nie w rodzaju poezji, ale w sposobie jej rodzenia się, kształtowania i działalności nazewnątr. Fantazja nie zająbia się naiwnie o zjawiska świata, nie zatapia się bezwiednie w kształty czy treść rzeczy dostrzeganych; nie leci wolno we wszechświat bądź przyrodzony, bądź człowieczy. Nie fantazja wprowadza w ruch uczucie i rozum.

Zapewne taka poezja nie mogła w sobie odbić naturalnego życia danej społeczności; nie opiewała słowików i lasów, dziewcząt jasnych i jasnych warkoczy, błękitnych niebios i błękitnych kwiatków—dla nich samych tylko, dla ich samistnego wdzięku. Co taka poezja straciła na różnorodności swojej, to zyskała na głębokości i wzniosłości; człowieczeństwo, niby odrzucone w założeniu, ostatecznie znalazło się w niej, i to w najszlachetniejszej swej postaci i w nateżeniu najwyższem. Poeci mogli w niej objawić indywidualność swoje, wprowadzić nie w pełni życia powszechnego, ale w pełni własnych sił twórczych; zaparli się siebie, każdy z nich jednak sobą pozostał.

Główną zaletą odczytu jest dokładne zrozumienie ścisłego związku naszej poezji romantycznej, nie z rodzajowem, wszechludzkim, ale z odrębnym historycznym życiem społeczeństwa. Wyniknęło ztąd tak głębokie przekonanie, że

siła jego pozwoliła prelegentowi wzbudzić się na wyżyny wymowy, poruszyła uczucie, przejęła nim treść i sam nawet styl wykładu. Z uznaniem słuchaliśmy, jak Brandes przypominał ludzenie się nasze Napoleonem, który z lodowatym cynizmem używał sympatii naszych za dźwignię do celów pychy i interessu. Dziś już nie potrzeba lać zimnej wody na głowy; ale war to jeszcze wylać wrzątek nienawiści na tę legendową postać, która umiała tylko lekceważyć, pomiatać i krew wysysać—a tyle jej wysysała! Dla romantyzmu naszego Napoleon był jednym z bóstw odbierających cześć żarliwą. Owo wnikięcie w ducha naszej poezji postawiło myśl Brandesa wobec żywego ducha powszechności. Porwany swym przedmiotem Brandes pomiędzy dwa czynniki miłości i nienawiści, stawia jako radę przyjaźni—pracę.

Z istoty tych czynników, które działały przy powstawaniu romantyzmu, wynika i to, że kobiecie przychodzącej z własnem nieograniczonym prawem i miłości jako bezwzględnej, samostnej sile, dostało się w nim mniej miejsca, niż w poezji Zachodu. Gynaeceum poetyckie nie mieści się u nas we wspaniałych apartamentach, ale na poddaszu, w suterenie, w jakimś skromnym pokoiku. Kobieta nie jest dla bohatera oślepiającym słowem: jest tylko przyprawą jego życia — najczęściej piółonową. Miłość dla kobiety w całości przejawów występuje jako nieunikniona przypadłość, gorączka młodości—widzenie idealistyczne, syrena lub świętanka wystana przez naturę, aby mężczyźnie bohatera powiększyć. Brandes czyniąc powyższe spostrzeżenie o roli kobiety w romantyzmie polskim uzupełnił je słuszną uwagą—podającą zresztą tylko nieunikniony wniosek z przeszłości — że miłość nie jest tu nigdy traktowaną realistycznie. Należało uczynić wyjątek dla tak zwanej IV części *Dziadów*, gdzie miłość występuje właśnie samodzielnie i w takiej potęgze, jakiej żaden inny poemat polski nie przedstawia,—przecież i tu bez realizmu. Wogóle struna realistyczna musiała w wielkiej naszej poezji zardzewieć. Napotykają się w niej, poza *Panem Tadeuszem*, zadziwiające rysy realizmu, szukać ich jednak potrzeba w tym dziele utworów, który nie wchodzi ściśle do ksiąg owego Nowego Testamentu, tak pięknie nazwanego przez Brandesa. Dość tylko przytoczyć dwa akta *Złotej Czaszki* — arcydzieło poezji rodzajowej na tle historii. Gdzie nie miał dla siebie gruntu realizm, tam nie mógł rozwinąć się i komizm. Brandes uważa za najlepszy okaz satyry humorystycznej Bankiera w *Niedokończonym Poemacie*. „Fredro nie rozwinął się”—czy naprawdę, wyprzedziwszy romantyzm, potem, gdy już epoka jego nastała, nie wzbudził się na wyższy stopień rozwoju, w stosunku do swych początków? Dla czego się u nas komizm wogóle nie rozrósł? Bo kwiaty komizmu wschodzić nie mogły tam, gdzie nawet miłość dla kobiety marniała od skwarów ponurego słońca. W życiu samych poetów uczucie rodzajowe miało w sobie coś anormalnego. Mickiewicz odrzucił Ewunię, po pięciu latach niewiedzenia, przypomniał sobie pannę Celinę, i napisanie listu wystarcza mu do założenia ogniska domowego; Krasiński wnikł w tragiczną miłość (*List do Jaroszyńskiego*), a ożenił bez przywiązania; Słowacki rwał się do idealnej kochanki, a odpychał rzeczywiste. Nie było tu niemocy charakterów, jak chce Brandes; było wytrącenie z równowagi przez siłę większą.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w końcu Kwietnia.

Nie wesołe Alleluja rozlegnie się nad nami w tym roku. Wszędzie dotkliwa troska maluje

się na obliczach. Epokę, w jaką wступujemy, przyrównać chyba można do lat, które upłynęły między r. 1830 a 1840. I wtedy już, po błogim okresie rządów Namiestnika Księcia Radziwiłła, zakosztowaliśmy pod naczelnym prezesem Flottwellem coś z systematu, którego on był ojcem, a który się dziś rozwija w szerszem zastosowaniu. Tylokrotnie owo nazwisko w ostatnich czasach obijało się o uszy, iż godzi się ponurą tą postać kilku datami i danymi wskrzesić. Henryk Edward Flottwell był typem skończonym pruskiego biuralisty i biurokraty. Urodził się w roku 1786 w Wystruciu, w Prusach Wschodnich, studia wyższe odbył w Halli; pilnością szybko wzbudził się w górę, i już w r. 1830 stanął na czele naszej dzielnicy. Ze szczególną gorliwością przyłożył rękę do uwiecznienia arcybiskupa Dunina, który od r. 1838 kilkoletnie w fortecy Kołobrzega znosił pięta, za jego też rządów wydano do sześciu milionów talarów na cele germanizacyjne, przeważnie na zakupno większych majątków, które przeszły albo w rządowe, albo też w prywatne ręce niemieckie. Po dziesięciu lat złowrogich dla naszej dzielnicy przeniesiono Flottwella do Magdeburga a następnie do Monasteru, gdzie go tak wszyscy znienawidzili, iż go cofnąć musiano, aby mu powierzyć stanowisko naczelnego prezesa Brandeburgii. Na zgromadzeniu narodowem we Frankfurcie w r. 1848 systemat jego surowo potępiono, a on sam nie mógł nawet obronić, bo go nie dopuszczono do słowa, skutkiem czego wystąpił ze zgromadzenia. Potem dwukrotnie piastował tekę ministeryalną, raz w wydziale skarbu, drugi raz w wydziale spraw wewnętrznych. Umarł w r. 1864. Dobrotliwe usposobienie Fryderyka Wilhelma IV-go usunęło niebawem bezwzględne Flottwellowskie *vae victis*, poczem nastąpił okres religijnej i politycznej tolerancji, który mniej więcej dotrwał do wojny francuskiej. Wprawdzie lokalni karyerowicze nieraz poflottwellowsku działali, ale ogólny systemat nie głosił przynajmniej konieczności germanizacji *à outrance* dla rzekomej obrony „narodowości niemieckiej od wżerającego się raka — polonizmu.” Tak to bowiem w ostatniem sejmowem przemówieniu kwestyą postawił książę Bismarck. Tymczasem tutaj wydalania ustają—ale tak jak walka w *Cydzie*, *faute de combattants*, bo już wszystkich niemal, którzy na liście proskrypcyjnej byli zapisani, odstawiono za granicę. Poszczególne fakty wytworzyłyby, zaiste, dziwne świadectwo dla stopnia ludzkości i kultury, złagodzenia obyczajów i sprawiedliwości państwa chępiącego się ze swej cywilizacyjnej wśród narodów misji. A co przytem bałamuctw, sprzeczności, zachodów! Ile ludzi dla braku legitymacji na granicy wstrzymano i z granicy cofnięto.

W tym zastępie wygnańców byli poddani rosyjscy i austriaccy, francuzcy i angielscy, ba! nawet amerykańscy. Cokolwiek bądź, przeszło 30,000 ludzi wydano ze wschodnich państwa prowincji.

Ubytek to nie mały, upuszczenie krwi żywotnej. W to miejsce napłynąć ma drogą kolonizacyi 40,000 niemieckich osadników. Komisya opracowująca projekta antypolskie uchwalila, iż za sto milionów ku temu celowi przeznaczonych, można będzie założyć 5,000 osad gospodarskich i 3,000 osad roboczych, razem osm tysięcy rodzin po pięć głów. Ale są to liczby oderwane, przez gorliwców i czcieli nowej ustawy wprowadzone. Poważniejsze głosy nie sądzą, aby się udało więcej nad 2,500 osad kolonizacyjnych założyć, zważywszy na znaczne koszta, które są nieodłączne od podobnego przedsięwzięcia, zwłaszcza, gdy się ono w ręce rządu dostanie. Wymagania się wtedy zwiększają—wszystko odpowiednio musi być wymurowane i wykończone, tak, iż obliczając najniższe utrzymanie się na jedną osadę koszt 40,000 m. A co się funduszy rozejdzie, zmarnuje, w nieuprawnione dostanie kieszenie — tego obliczyć niepodobna. Pierwszy taki eksperyment ma być dokonany pod Grudziądem w Prusach Zachodnich, w królewskiej zwanej Gołębiewko.

Toczyły się już żwawe dyskusye co do sposobu, w jaki należałoby tę pierwszą skuteczną próbę; ale rozprawy nie doprowadziły do żadnej rezolu-

cyi: tak trudno w sposób praktyczny rozwiązać sprawę, przedstawiającą przeróżne zawiłania. Wszyscy niemal zgadzają się na jedno: iż kolonie, tak nagle na skinienie zakładane, nie mają w sobie rekojmi żywotności. Na kolonistów sprowadzać będą osadników z Marchii lub Saxonii. Otóż chłop niemiecki, przyzwyczajony do całkiem odmiennych stosunków i warunków, potrzebuje codziennie mięsa, piwa i kawy, dobrego mieszkania, przeróżnych wygód, plauwagi do niedzielnego wyjazdu i t. p. Chcąc te obyczaje zachować na kawałku ziemi wielkopolskiej, nieprocentującej się tak wysoko jak saska lub westfalska. Jeśli nie przejmie surowego naszych kmieci obyczaju, nie skaże się na post niemal caloroczny, bez mięsa, z kiliszkiem wódki za cały zbytek—niebawem zbankrutuje, jak bankrutują już więksi niemieccy właściciele. Z tych pono przeszło stu ofiarowało już swe posiadłości na cele kolonizacyjne, w nadziei, iż je rząd drożej zapłaci.

Gdyby nie materyalny przełom chwili obecnej, gdyby nie w ręku naszych było kapitału, możnaby śmiało kolonizacyi spojrzeć w oczy, i nie małe zagony polskie w tej chwili wykupić.

Pamięć marnowanego niegdyś na próżność i zbytki, wywożonego lekkomyślnie zagranicę grosza powraca dziś jako piekaca zgryzota. Gdyby mieć to wszystko co się roztrwonilo, oileż byłibysmy silniejsi i pełniejsi otuchy! Książę Bismarck wypowiedział świeżo, iż na wszystko środek w *mamonie* się znajdzie. A myśmy dotąd tej mamony strzedz ani szanować nie umieli, używając za środek do łatwego życia, nie zaś za oręż w ciężkich walkach żywota.

Ale zkad się i w niemieckich rękach owa mamona tak obficie znajdzie? Mowa od tronu ubolewała nad stanem finansów krajowych, interes monopolu wódki chybił; a mimo to, na skinienie żelaznego kanclerza, uległa Izba coraz to nowe subsydia uchwała. Po stu milionach kolonizacyjnych, cele szkolne w prowincjach polskich znów przeszło trzy miliony mają pochłoniąć, a mianowicie: na utworzenie stu nowych szkół i rozszerzenie dwustu już istniejących; na wzmocnienie inspekcji, dodatkowe za gorliwość nauczycielskie stypendya; zakładanie niemieckich czytelni, pensyonatów żeńskich, tudzież owych szkół uzupełniających. Wkrótce stosunek nauczycieli do gmin, rdzennej ulegnie przemianie, skutkiem zamierzonego, coraz zupełniejszego, upaństwowienia szkoły. Dotąd gmina wybierała sobie kandydatów, doniedawna proboszcz był inspektorem, właściciel—patronem szkoły. Wszystko to powoli znika; zostać mają jedynie na rzecz gminy ciężary szkolne z utratą wszelkich przywilejów.

Z wyznań przeciwników naszych możnaby aż nadto dla nas pochlebne wysnuć świadectwa. Nie domyślaliśmy się, zaiste, iż jesteśmy tak silni, tak mocni i wytrwali. Zatopieni w rozpamiętywaniu win i wad naszych, dochodziliśmy do zwątpienia o sobie: aż tu naraz niebyswałe przychodzą nam holdy. Bo jakże nazwać inaczej np. panegiryk Polek, ich wpływów i hartu niezłomnego, który kilkakrotnie rozlegał się w sali sejmowej, podczas mów kanclerza, Treskowa i innych posłów; albo takie jeszcze wyznanie, jak to, które wygłosił świeżo w Izbie praskiej p. Kennemann, najzawziętszy może z t. zw. *Polen-fresserów* w naszej prowincyi: „Muszę przyznać, że Polacy w ostatnich czasach z wielką pilnością i energią pracują nad tem, aby mieć większe dochody, i że również przez oszczędność starają się utrzymać dobra w swych rękach. Dobra ziemskie znajdują się w tak opłakanym stanie, że każdy Niemiec je sprzedaje chętnie, gdy dostanie przyzwoitą cenę. Polscy właściciele mają zamało kapitału obrotowego i też długo utrzymać się nie

zdołają, ale względy narodowe prowadzą do tego, iż się rękami i nogami dóbr swych trzymać będą.“ Ztąd ostatecznie p. Kennemann wnioskuje, że najwięcej wyprzedzą się Niemców, srodze dotkniętych materyalnym chwilą obecnej przełomem stosunków rolnych.

Ale wobec nacisku złego, czyż żadnego pocieszającego objawu ni świtu zapisać dziś nie przyjdzie? Owszem, niejedno krzepić nas tu może i powinno. Wspomnieć wypada między innymi wspaniały wiec chłopski, zwołany przez samych włóścian we wsi Wierzenicy pod Poznaniem, niby w odpowiedzi na zarzut ministra, iż kmieć polski jest tylko bezmyślnym narzędziem w ręku szlachty i duchowieństwa. Mowy tych prostaczków, doprawdy, w podziw wprawiły słuchaczy i czytelników. Na zapytanie: zkad się chłopom wzięło tyle rozumu?—szanowny *Przyjaciel Ludu* odparł, że z gazet i książek, z biady i niedoli, z zacnego serca, które nakazuje uczyć się, pracować, wspólnie radzić i wspólnie się bronić. Innym dodatnim objawem, to zsolidaryzowanie się naszej społeczności, która zwarła swoje szeregi, aby tem skuteczniejszą germanizacyi stawić zapórę. Na hasło dane przez mowę Bismarcka przestaliśmy bez różnicy zaopatrywać się w niemieckich handlach, trzymając się wyłącznie swoich kupców i rzemieślników. Niby to kropla wody w oceanie, a jednak dwustronnie odczuta. Wrocław narzeka na dotkliwy ztąd zastój przemysłu, wyrzekania wielkich kupców bławatnych, jak Maurycyego Sachsa i innych, przeskakują się aż w łamach polskich czasopism. A zkad inąd słyszeliśmy np. w pewnym, świeżo powstałym, składzie poznańskim, zapewnienia, iż interessa nierównie lepiej idą, odkąd grzmiący głos kanclerza zbudził swoich z sennej obojętności, i każdy miałby sobie za grzech cokolwiek bądź nabyć u obcego.

Wobecnych okolicznościach i warunkach, wiele krzywd pojedynczych znieść przychodzi skutkiem samowoli miejscowych biurokratów, a nieświadomości granic prawa. Lepsza znajomość ustaw legalnych niejednego obronić-by mogła. Dla tego przed kilkunastu miesiącami zawiązało się u nas t. zw. *Towarzystwo obrony prawnej*, które liczbą członków już w czwórnasób urosło. Charakterystycznym, zaiste, rysem jest szczegół, iż główną osiłą i sprężyną czynności młodego, a już zasłużonego, związku jest wnuk niemieckiego kolonisty, przez Flottwella niegdyś sprowadzonego a który już sam polszczyć się zaczął, aby w trzecim pokoleniu chyba już tylko rządnością i pracą świadczyć o niemieckim rodziu pochodzeniu. W ostatnich miesiącach przez ręce towarzystwa przeszło 510 spraw, z których 151 szkolnych, a 120 dotyczących wydań.

Mnożą się też popularne wydawnictwa a do cenniejszych zaliczamy świeżo wyszły z druku *Śpiewnik kościelny*, uzupełniający cenne muzyczne wydawnictwa ks. Świeżyńskiego, który ocali za bytki starodawne naszych pieśni i melodi świętych, zagrożonych zagładą, skoro już po szkołkach władze rozpowszechnić próbują niemieckoluterskie chorały.

Wspomniałem wam o znacznej liczbie czasopism roznoszących po naszej dzielnicy skrzydlate słowo pokrzepienia i hartu. Ale nad drukowane wyrazy, jakże silniej działa słowo, głos gromki a pełen zapału! Zima ubiegła mnożyła odczyty w szerszych lub ciśniejszych kołach. Pierwsze zaś wiosny powiewy nową w tym kierunku zgottały nam biesiadę. Goszczący w mieście naszym lwowski professor Cwikliński w Towarzystwie Przyjaciół Nauk miał zajmujący odczyt o nowych zdobyczach Schliemanna w Azji. Sala bazarowa dwukrotnie napełniła się szczerze wokoło kate-

dry, z której z kolei p. Kazimierz Jarochoński ponownie nas za sobą w przyswojoną sobie epokę saską wprowadził, professor zaś Jagiellońskiej wszechnicy, przybyły z Krakowa do rodzinnego miasta, prof. Kazimierz Morawski, cofnął słuchaczy w dalekie wieki, gdy wszechwładny Rzym wydał całemu Zachodowi exterminacyjną wojnę pod hasłem: „Wytracim narody! Roma jedną będzie.“

W romanizacyi ówczesnej—jak dziś w germanizacyi—tasama była twarda bezwzględność, tasama pycha i egoizm. Romanizacya atoli postępowała szybko, dokonywała z powodzeniem zamierzonego dzieła, bo barbarzyńcom niosła oświatę, bo przychodziła do ludzi niemających ani przeszłości historycznej, ani rozwiniętych w pełni wszystkich kierunków kultury. Germanizacya, przeciwnie, próbuje pochłoniąć i strawić plemiona posiadające duchową i dziejową spuściznę, cywilizacyą i posłannictwo własne: i dlatego zamachy jej skazane są na bezwocność. Nie brakło też prelegentowi dowodów uznania i wdzięczności ze strony spółzemiań.

Nowego naszego arcybiskupa nierychło doczekać się mamy; najwcześniej przyjazd jego nastąpić w końcu Maja lub początku Czerwca, że zaś przyjazd ten, jak się zdaje, zależy od ugody polityczno-kościelnej, nie więc w tej mierze pewnego określić się nie da, a wszystkie pogłoski okazały się bezpodstawnymi. A tymczasem wieści wojenne przebiegają, jak ptaki śmierci, w powietrzu już i tak parnem. Odbite świeżo wiosenne kontrole rzuciły popłoch wśród spokojnych mieszkańców wsi i siół naszych. Wbrew bowiem ścisłej zwykłej tajemniczości ruchów i zamiarów, tym razem bez ogródki oświadczano wojskowym, iż mają się trzymać w pogotowiu na ewentualność prawdopodobnej a blizkiej wojny. Gdzie? z kim? Blizka to przyszłość wyjaśni. Pozwalająca niekiedy ją przeczuć i odgadnąć prasa urzędowa i półurzędowa co kilka dni zmienia front i kierunek.

Teatr Poznański oddawna z uciszonego wywniół się Poznania; zrazu objechał z powodzeniem mniejsze księstwa miasta, teraz znajduje się w Kaliszu i zapewne niebawem do Warszawy zawita. Nie mieliśmy też jak innych lat przelotnych gości artystycznych. Pani Sembrich-Kochańska, dla niewyjaśnionych powodów, zawiodła powszechnie oczekiwania, i za przybyciem do Poznania, gdzie liczny zjazd wyglądał ukazania się „Królowej słowików“, nagle cofnęła zapowiedziany koncert i wyjechała do Krakowa i Lwowa, aby tam miłosierną swą hojnością zdumiewać, zarówno, jak i zachwycającym głosem i metodą zachwycać. Dochodzą nas wieści, iż może bracia Reszkowie w ciągu lata nawiedzą Poznań; są to jednak dotąd głuche tylko posłuchy. Biedę ogólną ciężki potęguje przednówek. W Niemczech tu i owdzie pojawiają się bezrobocia i niepokoje, ale jeszcze nieśmiało i drobne w porównaniu z londyńskimi i belgijskimi wybrykami. Ludzie znający grunt niemiecki wróżą, iż socjalizm na dobre się już zakorzenia wśród niemieckich robotników i straszliwszym, niż gdziekolwiek indziej, wystrzeli piorunem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszu* dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Szaleństwo*, przez Z. Mairét.

TREŚĆ. Pogawędka.—Lucya z książąt Gedroiców Rautenstrauchowa (Wspomnienie pośmiertne), przez M. Ilnicką.—Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.—Prawa kobiety, przez M. Ilnicką.—Romantyzm polski, w pojęciu Brandes'a, (dalszy ciąg), przez S. Krzemińskiego.—Korrespondencya zagraniczna, Poznań.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Szaleństwo*, przez Z. Mairét.—Przegląd mód.—27 wzorów ubiorów robót wraz z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Мая 1886 года.